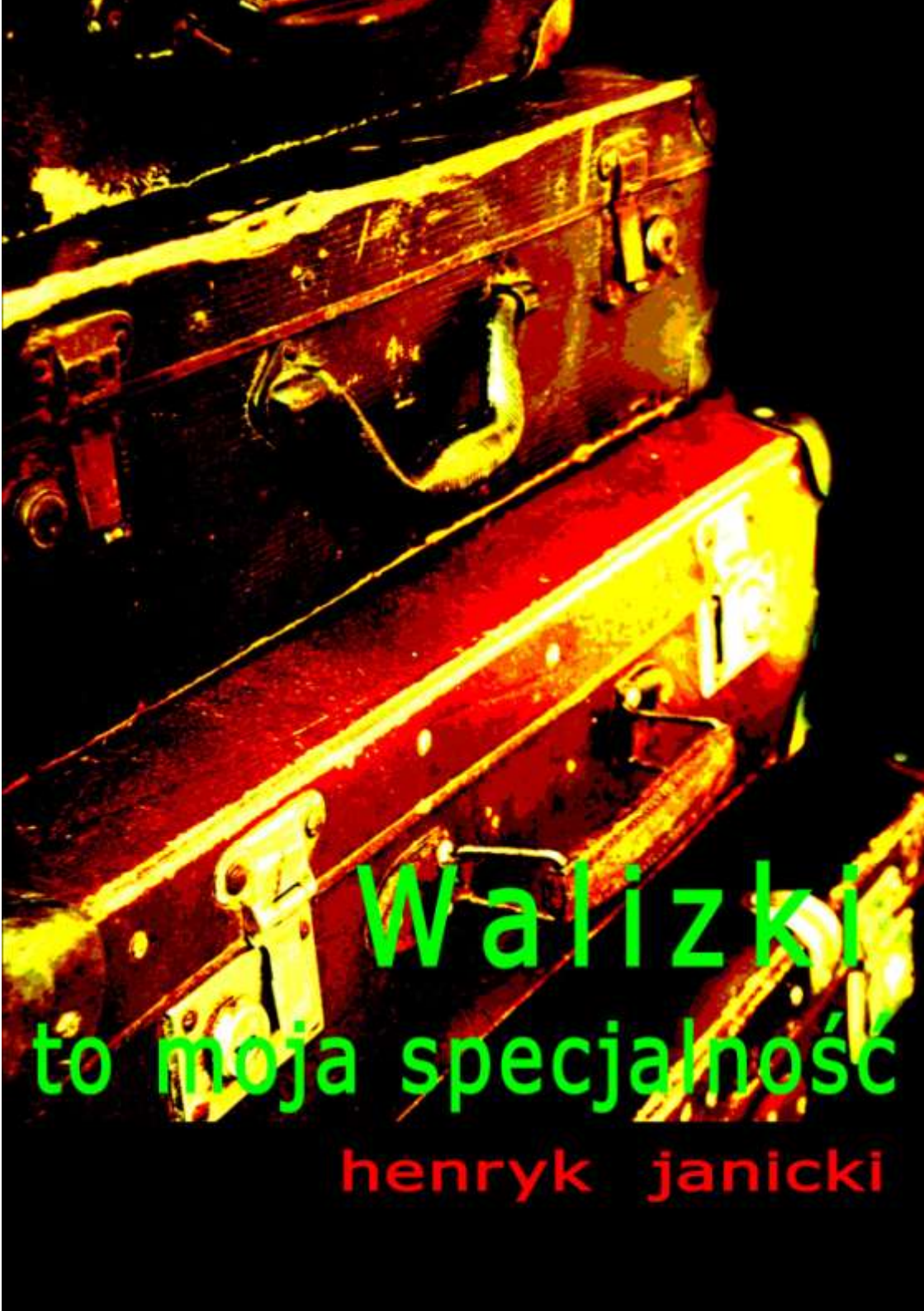

Walizki
to moja specjalność
henryk janicki

Henryk Janicki

WALIZKI

TO MOJA SPECJALNOŚĆ

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

© Copyright by Henryk Janicki (Self-publishing)
Grafika i projekt okładki: Drach Zdzisława
ISBN 978-83-62480-27-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2011

Spis treści:

1. Polska rzeczywistość, czyli panowie byli przed wojną. ... 5

2. Szukam Pracy 30

3. Jedzenie 55

4. Niedoszły aktor 63

5.The Best pomywacz 75

6. Równouprawnienie? 87

7. Przyjaźń..... 96

8. Złośliwość rzeczy martwych 110

9. Balanga 121

10. Stracone pokolenie 89 134

11. Zgiełk High Street 151

1. Polska rzeczywistość, czyli panowie byli przed wojną.

Pochodzę z głębokiej prowincji, gdzie masa ludzi boryka się z bezrobociem. Z uwagi na status bezrobotnego, uprzedzenia do prywatnych pracodawców, małe – jak się zdaje – predyspozycje zawodowe, wrażliwość społeczną wynikającą z przykrych doświadczeń, wykazuję poglądy sprzeczne z duchem szeroko pojętego liberalizmu. Najogólniej rzecz biorąc mówię o symbolu, idei; w żadnym razie nie sympatii do takiej czy innej partii. Symbol skrywa często stek kłamstw, buńczucznej propagandy; nie idzie za nim konkretne działanie; nie sączy się esencja, którą napoi się tłumy, spragnione godnego zarobku i traktowania. Jestem nikim, tzn. populistą; chciałbym być fanatykiem równości… W każdym razie dążenie (nie gdakanie) do tego jest wznioślejsze, niż sama równość. Fanatyzm tworzenia równości jest wielki i przerażający; jakież krwawe żniwo zebrał u progu działalności pionierów systemu, od którego jeszcze nie tak dawno nie mogliśmy się uwolnić! Jestem pesymistą, by nie powiedzieć defetystą. Uważam, że zawsze będą „oni" – dający zarabiać na chleb i „my" – zarabiający na niego. Byt kształtuje świadomość, ale nie powiem, że lepię z siebie polityka. Dla oponentów będę jedynie malkontentem, dla którego krytyka opiera się o subiektywne postrzeganie świata.

Teoria jest prosta: skazany jestem na łapanie fuch takich jak cieć na budowie, robotnik w fabryce na linii, kuchenna pomoc, może kucharz. Co najwyżej, mógłbym być agentem ubezpieczeniowym lub ankieterem? Co za tym idzie, stąpając po dolnych szczeblach społecznej drabiny, będę wiecznie niezadowolony, poniżany, skłócony ze swym pracodawcą za obarczanie nadmierną odpowiedzialnością, karceniem za byle drobiazgi, upokorzony świadomością psich zarobków i faktem, że mój chlebodawca parę razy do roku rozkoszuje się ciepłym, południowym morzem i widokiem palm?

Mając na uwadze realia rodzimego, wilczego kapitalizmu, moje bolączki albo – jak to nazywam – zbytnie poczucie wartości własnej osobowości(przypadek dość rozpowszechniony), które mało ma wspólnego z kwalifikacjami zawodowymi, praca w Polsce byłaby – łagodnie to określając – niezwykle uciążliwa. Wilczy kapitalizm(nie bez kozery określenie to wywodzi się od terminu „wilcze prawo"), to głównie – jak mówię – psie zarobki i słabe prawo pracy, dotyczące zwłaszcza podwładnego.

W świecie liczą się pieniądze i życiowy standard. Zestawiając to z uprzedzeniami do polskiego kapitalizmu, słabościami dotyczącymi zdolności zawodowych, obowiązkami wobec rodziny, dobrym rozwiązaniem(złym przez wzgląd na ból rozstania z rodziną), jest wyjazd za granicę.

W ten sposób szukam pracy. Podtrzymuję niejako ciągłość (doświadczenie zacząłem zdobywać zaraz po osiemdziesiątym dziewiątym) włóczęgostwa po świecie. Wśród znajomych nie mam niestety oparcia; ci, co nazywali się bliskimi, stają się dalszymi, zapominają o wyświadczonych im przysługach lub zwyczajnie cię olewają.

Dwa lata borykam się z tymi trudnościami.

Wróciłem od starego kumpla; w Hiszpanii(mój ostatni pobyt) stawialiśmy wspólnie czoło przeciwnościom losu. Po cichu liczyłem na jego wsparcie, kiedy po urlopie pojedzie do – będącej ostatnio na topie, jeśli chodzi o wyjazdy Polaków – Anglii. Nie wykluczałem interesu: coś za coś. Koleś na trzeźwo wzruszył ramionami – o robotę ciężko.. Po kilku głębszych zaoferował jednak pomoc. Czekałem miesiąc. Nic. Zdeterminowany zadzwoniłem – telefon milczał.

Co robić? Jak wyjechać? Byle gdzie. Do roboty, na czarno, za ciecia. Czas nagli; brakuje pieniędzy. Prace dorywcze nie wystarczą. A i barachło, bo u kogoś. Przepraszam za zwrot, nie cierpię szefów – kapitalistów. Tego schematu – psich zarobków i całej gamy nieproporcjonalnie do nich wysokich wymagań.

Lato i jesień. Nieco wytchnienia, jeśli chodzi o mą mentalność, dotyczącą stosunków własnościowych, relacji między pracodawcą, a pracownikiem. Na targu stanę z grzybami, jagodami, jeżynami. Kto by pomyślał – w czasie mej hossy zarobkowej za granicą –, że będę się kiedyś spinał po krzakach dzikiego, bzu, który przyjmują na skupie i spozierał spode łba, zziajany i podrapany, czy aby kto znajomy nie nadciąga w pobliże? Cóż byłby to za obciach! Tak się zniżyć! Nie sposób przetłumaczyć sobie, że to nie wstyd, ujma. Efekt takiego zarabiania, to łatanie dziury w wypłacie żony na pokrycie codziennych wydatków, które robią się coraz większe i większe…

Nie mogę uwierzyć w ten paradoks! Tak myślę, obserwując z dala swój duży dom, z fajnym ogródkiem i z wkomponowanym w nim – ma się rozumieć – skalnikiem w iście modernistycznym stylu. Owoc żmudnej tyrki za granicą, skrobania dupy, kombinowania, by jak najwięcej odłożyć. Widzę i inne, ładniejsze domy, a wyobraźnią obejmuję tysiące pozostałych, co prawda nieszklanych – jak marzyło się Żeromskiemu –, ale solidnych, murowa-

nych i ocieplanych domów. Gołe ściany, świecące pustką wnętrza; ich wykończenie wymaga kolejnych nakładów, których nie sposób tu pozyskać. Po wykończeniu wnętrza świecą pustką osobową – właściciele znów wyjeżdżają, bo nie mają, za co żyć. Albo też przesiąknięte są bólem rozstania, gdy wyjechało jedno z małżonków, rodziców. Kiedy te piękne domy zgromadzą wreszcie komplet osobowy, do wytężonego umysłu jak bumerang powraca pytanie:, „co dalej?". Pracy znów nie ma. Perspektyw też. Przykra rzeczywistość – prometejską troską ogarniam te piękne, polskie domy.

Puste, błąkające się gdzieś hen, daleko słowa – rodzina, miłość – stają się tłem, a z założenia powinny być wartościami priorytetowymi; dodawać sił w tych trudnych chwilach, być budulcem do wznoszenia rodzinnego monolitu. Jak trudno żyć … A trzeba? Na swój sposób konieczność(…), Jeśli wziąć pod uwagę powyższe biadolenie, a nie fakt, iż jest ono jedynie procesem, darem powierzonym przez Boga, którym należy się cieszyć, pożytkować go dla siebie i innych najlepiej jak tylko można; czerpać z niego kwiat rzeczy przyjemnych, ale i przyjmować zło, które jest w niego wkomponowane. Chciałbym mieć ufność w Panu; siłę wiary Hioba, który jest tego najokazalszym przykładem. Mrzonka, ale chciałbym… Otaczam się, bowiem powierzchowną religijnością polegającą głównie na ceremoniach. Nasza wiara też, to wołanie do Stwórcy, by nam błogosławiłby spływała na nas Jego nieograniczona łaska i dobroć. Naturalne, ale istota wiary powinna sprowadzać się do tego, co daje nam Pan, a nie przyjmować wybiórczo. A potem obrażać się za dotykające niepowodzenia, w które ponoć nie ingeruje Pan – władca tegoż świata jest szatan. Wszystko, przez grzech Adama; nie sposób zgłębić eschatologii; sam nie wiem, do czego piję… Przez skotłowane, chaotyczne, pesymistyczne myśli, przebija się jakaś nieśmiała, głu-

pia(?) Otucha. Nie poddawać się! Kroczyć ku lepszej przyszłości! Bzdurny fluid – zdaje się oponować zdrowy rozsądek; zimne, racjonalne myślenie, osadzone w codziennych realiach, każdej chwili, kroku, który podejmujesz. Ten prąd umysłowy wetknął we mnie wojowniczego ducha z jednej strony, lecz z drugiej, podszył go swego rodzaju egoizmem, dziwnym, jakby podświadomym lękiem, samorzutną, odruchową troską o siebie; To trwożliwa, rozedrgana obawa o byt, jako pochodna i wypadkowa wkraczania w kolejny etap życia. W grząskie podłoże, będące efektem ustawicznych wyjazdów, pracy na czarno, co zaowocowało, krótkim stażem pracy w Polsce, z czego część, to zasiłek dla bezrobotnych. Rzadkie chwile otuchy i nadziei, chciałbym wesprzeć dodatkowo pociechą, że nie ja jeden tkwię w podobnych tarapatach; ale to jedynie efemeryda…

Szukam wsparcia w Biblii; przytaczam sobie cytat: „ Nie trwóżcie się…" Bóg zadba o nas, jako o te ptaki niebieskie, które nie sieją, ni zbierają, a mają pożywienia pod dostatkiem. Wszystko, więc – piękny, duży dom, który zdaje się być pyłkiem na wietrze, tonący niemal – w oddali – wśród śniegowych chmur, moja trudna sytuacja i przyszłość, są w jego rękach. Cokolwiek się stanie, jest zapisane w górze – jak Kubusia Fatalistę uświadamiał jego Pan. Daremne jest, więc zatroskiwanie się.

Niepewność jutra jednak – mimo samopocieszania się – ogranicza w jakiś sposób mą wolność, prawo wyboru. Analizując moje życie, można rzec, że sytuacja wpędziła mnie w ślepy zaułek: praca za granicą i godziwe zarobki(przeliczając to na rodzime realia). Jakżesz to koliduje z przesłaniem Słowa Bożego(!), Które nakazuje rzucenie wszystkiego, co mamy i udanie się w za Chrystusem: pracuj i nie goń za mamoną; miłuj bliźnich? Wciel, więc w swe poczynania biblijne mądrości, które ostatnio tak cię zajmują(„duch jest ochoczy, lecz ciało mdłe") i porzuć egoistycz-

ną walkę o godny byt. Uzbrój się w cierpliwość, która pozwoli ci znieś upokorzenia ze strony swego najemcy. Lecz brak mi siły, woli, determinacji, by zaczekać na jakiś efekt z pokorą, bez buntu. Chcę, by załatwiono mój problem teraz, natychmiast(!). By podano mi to spektakularnie nie na srebrnej, a na platynowej tacy! Oto moja słabość – wikłanie się w walkę o godny byt! Zaszufladkowaliśmy się, pędzimy za dobrami materialnymi. Okłamujemy się trąbiąc o dobroci, pomocy, prostocie życia i otwartości na drugiego człowieka w pracy, urzędach, kościele, na ulicy. Hołdujemy powiedzeniu, że „kowalem własnego szczęścia każdy bywa sam"; jesteśmy źli, a próbujemy spychać zło i obarczać odpowiedzialnością za nie innych. Nasze człowieczeństwo zaprzedaliśmy za srebrniki.

Nie sposób, mimo przebłysków optymizmu, oprzeć się brutalnej, przygnębiającej rzeczywistości – kolejny raz obserwuję z dala swój dom: mało dostrzegalne kontury, rozjaśnione niemrawym, spowitym gęstniejącą mgłą światłem przydrożnych lamp. Widok, jakby przeniesiono go z innej planety; no i stan mego ducha – monotonny, zagubiony, z każdą chwilą coraz bardziej spowity mgłą oraz mgłą psychicznego wyobcowania, którego nie mogę rozłożyć na czynniki pierwsze i znaleźć wreszcie rozwiązania asymilującego mnie z najbliższym otoczeniem. Polskie domy i mój dom, przebiega mi znów natrętna myśl; nikłe światła w oknach – nieodparty znak toczącego się za nimi życia. Lecz dom to nie mury i okna ani światło elektryczne, ale ludzie, których ono oświetla. Stosunki i relacje między nimi; miłość, dobroć, poszanowanie i zrozumienie. Cóż za frazes! Tyle, że będący wyimaginowanym dążeniem, celem często niebotycznym niż namacalnym urzeczywistnieniem.

Uzmysławiam sobie, że sprawy typu edukacja, rozwój zawodowy, które prawdopodobnie teraz stawiałyby mnie w zgoła od-

miennym położeniu, są praktycznie zamknięte, co napawa mnie rozgoryczeniem; mam do siebie pretensje za ów stan rzeczy. Rozgoryczenie jest jedynie tęsknotą za uduchowionym, monstrualnym i wrodzonym ubóstwieniem siebie, destrukcyjnie oddziaływującym na rodzinne relacje.

Pora skończyć z rozpamiętywaniem, podarować sobie uprzedzenia do pracodawców i wynikające stąd bolączki – słyszę beznamiętne, ale zdeterminowane wołanie żony, jako że niepewność jutra i przede wszystkim deficyt w domowym budżecie, wzmagają się do tego stopnia, że bez zwłoki trzeba podjąć pracę. Byle gdzie…to znaczy najprędzej u prywaciarza. Przytakuję, na wpół ogłupiały w bezradności. Muszę pracować, zarabiać…Praca!, Myślę, cóż za brzemię spadło na mnie! Jako rezultat ukształtowania systemu działań zbiorowości w celu uporządkowanego, jak najlepszego jej funkcjonowania? Majaczą mi jakieś pozytywistyczne ideały; na dobrą sprawę to wzniosłe, ale i rzeczowe ideały. Transcendentna logika: każdy musi pracować, wydajnie pracować! Rozumiem to. I mam gdzieś wszystko: pozytywizm, ideologie. Jestem ignorantem, pajacem silącym się na objęcie jaźnią doniosłości, znaczeniu pracy w zbiorowości ludzkiej. Ale to wszystko, na co mnie stać. W gruncie rzeczy, chciałbym, by pieniądze przychodziły mi bez wysiłku, bez uszczerbku na zdrowiu psychicznym, co jest – z założenia – wkomponowane w zawodowe ryzyko. Pomijając pospolity atrybut, jakim jest minimalny zarobek(pozwalający, jako tako przetrwać), jakże ważny jest zawodowy rozwój, podnoszenie kwalifikacji, swoista radość, którą powinieneś czerpać z wykonywania zajęć zajmujących ci jedną trzecią doby. I dobrze byłoby, by nie był to czas jałowy, wypełniony zwykłą obecnością, uzupełniona o tęskne spojrzenia na zegarek:, kiedy ten mozolny, połączony ze stresem trud dobiegnie końca? Biorąc pod uwagę rodzime realia, o pracy, z której wy-

chodzisz spełniony, zadowolony, większość może zapomnieć, więc z konieczności szukają byle, czego

U prywaciarzy ciężko. Owszem, jako fachowiec, murarz mógłbym coś złapać, ale jako pomocnik? Bo to mało ich naokoło? Nie potrzeba.

Odwiedziłem parę agencji ubezpieczeniowych. Mogę spróbować – obwieszczono w jednej z nich. Agent, to nie to samo, co cieć na budowie; chodzi się czysto ubranym, jeździ samochodem, nie obciąża rąk. Odżyłem nieco. Przedstawiono wymagania: samochód, operatywność(polegająca na znajdywaniu klientów). W tym szkopuł, bo ich brak oznacza brak wypłaty. Klapa – warunki nie do przyjęcia!

Spoglądam na budynek urzędu pracy; z rozrzewnieniem wspominam odległe czasy pobierania zasiłku i trwonienia go z kumplami po knajpach, bo przecież odkładanie znikomych sum w skarpetę zakrawało na sknerstwo. Rekompensatą przepuszczonej kasy – prócz bólu głowy – było niekiedy poznanie paru panienek Chodziło zwłaszcza o dreszczyk emocji związany ze wstępnym etapem badania gruntu. Szybko mija czas….

Rozkojarzony, jakby od niechcenia, śledzę oferty pracy wiszące wewnątrz budynku. Murarz, agent ubezpieczeniowy – przerabiałem to. Akwizytor – ta sama bajka, co agent. Księgowy – nie moja brocha. Magazynier, kierowca – mogłoby być, ale… nieaktualne. Krew uderza mi z lekka do głowy.

– Nie jestem zdziwiony, że nic nie ma – mówię poirytowany do pań w biurze, których ta uwaga nic nie obchodzi. Jeszcze bardziej mnie to rozjątrza, więc idę za ciosem: – Po co wieszać te kartki? – Dziwię się – i na dodatek muszą zajmować się tym aż trzy osoby! A może więcej?

–, Co? Co takiego? – Wydają się sprowokowane bezczelnością(?) – Czy pan sobie nie za dużo nie pozwala? – Odpowiadam,

siląc się na grzeczność, że nie. Pytam tylko, gdyż wszyscy wiedzą, że oferty to pic na wodę. Jak już się coś pojawi, jest tego tak mało, że podzielone jest między znajomych? Wywieszanie kartek to stwarzanie pozorów pracy urzędu, zresztą zbyteczne. To element biurokracji. – Uważam – kontynuuję poważnym tonem –, że dwa etaty w tym pokoju są niepotrzebne. A skoro ja jestem bezrobotny, nie mam dzieciom, za co kupić jeść, proszę wybaczyć mą szczerość, to uważam, że w ramach ludzkiej solidarności, z dwoma szanownymi paniami, będziemy podwójnie zdeterminowani w poszukiwaniu pracy. Niestety – wskazałem palcem w dół – w tym pokoju jest o dwie osoby za dużo! Pieniądze za te dwa etaty proponuję przeznaczyć na potrzeby najuboższych. Niech będzie to przykład poszukiwania środków na opiekę społeczną. No …może jeszcze na tworzenie nowych, ale faktycznie potrzebnych miejsc pracy. Oczywiście to znikoma część tego, co trzeba robić, by poprawić sytuację, bo tak naprawdę bez napędu gospodarki ani rusz! Ale niech drżą o swe stołki ci, co uwikłani są w sitwy i kliki. Bo najwyższy czas z tym skończyć.

Z pięć minut jak wszedłem do pokoju, a atmosfera rozgrzała się do czerwoności, co uwidoczniło się na pąsowych, zszokowanych, wręcz zbulwersowanych twarzach pracowniczek. Prócz tego jednak zarysował się na ich twarzach trudny do zdefiniowania grymas; jakby w głupi, przypadkowy sposób rzucona na ich oblicze prawda, której ma się świadomość i która – czy się chce czy nie – w oczy kole. Obliguje, niejako, do wyrzutów sumienia, ponieważ jest niewygodna dla rzeszy innych. Lecz cóż! To tylko gorący wypiek zdumienia, świadczący tylko o jednym z reliktów socrealizmu – biurokracji. Te stosy papierów, nieprzydatnych dokumentów, świstków, układanych, wertowanych w grubych katalogach przez ludzi biorących za to pieniądze.



Henryk Janicki

Urodzony na wsi dużą cześć dorosłego życia spędził na emigracji zarobkowej, co m.in. zaowocowało powstaniem kilku książek. Podejmują one próbę definicji samego siebie, jak i otaczającej rzeczywistości; stanowią w dużej mierze swoisty traktat filozoficzny dotyczący relacji międzyludzkich na obczyźnie z wyraźnie zaznaczonym tłem przemian ustrojowo-społecznych w kraju doby rozpoczętej po 89. roku.